

## Okruchy pamięci

(Dokończenie ze strony 4)

go gorącego – nawet w zimie – czasu, były dwa, które przeżyłam bardzo mocno. Jednym z nich był uroczysty, zbiorowy poranek autorski w Teatrze Wojska Polskiego z pisarzami, którzy przybyli do Łodzi z różnych stron Polski. Wielu z nich jeszcze nie znałam, nazwiska innych zatarły się w pamięci, pozostawiły jednak wrażenie czegoś wyjątkowego. Każdy z autorów recytował sam swój wiersz lub fragment prozy, najżywiej przecież wspominam zawsze postać, sposób recytacji i wiersz – Jarosława Iwaszkiewicza, który tak wspaniale mówił swoje: „Plejady, to gwiazdozbiór jest październikowy...”. Jego głos, ten wiersz i okazała postać autora w nienagannym, ciemnym garniturze (z białym kwiatem czy z chusteczką w butonierce – dziś już nie pamiętam...) – to przywracało wiarę, że można żyć w świecie bez wojny...

Drugie wydarzenie, które utrwaliło niezwykle moje doznania, wiąże się ze spotkaniem autorskim z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim w sali dawnego teatru Lutnia. Był to również Poranek Poetycki. Gałczyński – ciemny mężczyzna, średniego wzrostu, o bujnej czuprynie, pięknych, czarnych oczach i niezwykle głębokim, urzekającym głosie – mówił swoje wiersze, stojąc i leciutko czasem poruszając stopą, z pięty na palce, wprawiając ciało w nieznaczny ruch, miarowo-wahadłowy, co pogłębiało niespotykany efekt recytacji. Pozostało mi też na zawsze urzeczenie postacią poety i jego poezją...

To były gorące dni, gorące lata. Trudno było nadążyć za szybkim nurtem spraw, ale próbowaliśmy – my, młodzi. Zdarzały się piękne dokonania w kulturze, bywali piękni, ważni ludzie. Miałam wiele szczęścia, że mogłam zetknąć się z niektórymi, poznać ich. Doznawać radości przeżywania, smakowania ich dzieł.

Dzięki takim artystom, jak Leon Schiller, Aleksander Zelwerowicz, powstał w Łodzi Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, rozkwitał wspaniałymi przedstawieniami Teatr Wojska Polskiego, Teatr Powszechny.

Po premierze „Wesela” Wyspiańskiego, po „Kraciuchach i góralach” – chodziłam przez tydzień jak zaczadzona, podobnie po „Kramie z piosenkami”, po „Elektrze”. Po „Świerszczu za kominem” – z niezapomnianą Ryszardą Hanin – zachłystywałam się, jak wszyscy, Sztuką – przez duże S.

Teatr był, zaiste, dla nas, znękanych wojną, cudownym źródłem odnowy i... nadziei. Był taki dzięki ludziom, którzy go tworzyli: reżyserom, aktorom, pisarzom, scenarzystom, i wszystkim innym współpracownikom, nawet tym najskromniejszym – pasjonatom sztuki słowa. Zwłaszcza niezwykle realizacje reżyserkie Leona Schillera pozostaną na zawsze niezapomniane i może niedościgłe...

Widywałam we wspomnianym okresie i

innych, znanych twórców literatury, teatru czy muzyki, którzy albo czasowo, albo na dłużej pozostawali w Łodzi, ale nie poznałam ich bliżej. Widywałam więc czasem Zofię Nałkowską (mieszkała w Domu Literatów przy ulicy Bandurskiego), Połę Gojawiczyńską, Stefanię Grodzieńską, Jurandota...

Mój mały sztambuch ze wspomnieniami z tych lat (zamierzonych – dla wielu młodych ludzi) otworzyłam przypomnieniem oryginalnej i sympatycznej dla mnie, aczkolwiek kontrowersyjnej dla niektórych osób postaci Zygmunta Kałużyńskiego. Żałuję, że już go nie ma wśród żywych. Z tego pokolenia zresztą pozostali tylko nieliczni. Szkoda. Było to bowiem pokolenie ludzi z twórczą pasją pięknych dziełań, z wiarą w sens swojej pracy.

**Aleksandra Zofia  
Pijanowska-Adamczyk**



**Wojciech Piotrowski**

## Wózek

Poranna kawa, jak zwykle zbyt gorąca, parzyła usta. Trzeba ją było odstawić, pić powoli, przygotować grzankę, smarując grubo lepkimi powidłami. Pies na podwórzu, dobrze o tym wiedział, zaszczeka za chwilę – za minutę lub dwie – a zza zakrętu wyłoni się skrzypiący wózek pana Zbyszka. Tego „pan” dawno już nie wymawiano, a tym bardziej samego imienia. Mówiono: hej, ty, zjeżdżaj z tymi gratami i Zbyszek zjeżdżał, czasem zbyt pospiesznie, hamując rozpędzony w tym miejscu wehikuł naładowany tekturą z rozprutych kartonów, brzęczącymi, zawieszonymi na żelaznych prętach, rdzewiejącymi garnkami, czajnikami. To już nawet nie był Zbyszek, tylko jakieś Tse Tse Apepe, niezrozumiałe dla wszystkich ni to wyrażenie, ni to dźwięk, jaki niekiedy dało się słyszeć z jego bezzębnej gardzieli w chwili zadowolenia. Zatem pies zaszczeka za chwilę, za minutę lub dwie na Tse Tse Apepe, kawa będzie zbyt gorąca, a grzanka wciąż będzie oczekiwała na posmarowanie grubą warstwą lepkich powideł. Wystarczy czasu, by zamącić spokojną, jak lustro czystą i jak noc czarną powierzch-

nię napoju, niech przestygnie. Przed zamieszaniami można ujrzeć w tej toni odbicie twarzy – zmarszczki zbyt gęsto rozsiane nie pozwalały nazwać jej młodą, interesującą. Choć, co prawda – pomyślał – chyba jeszcze odrobinę przypomina (czy przypomina?) tamtą zaglądającą ciekawie w głąb jeziora, gdy pochyłony nad balustradą udawał, iż nie widzi tej drugiej twarzy skłonionej ku wodzie, figlarnie przechylonej ku niemu i grubego warkocza, z latami coraz dłuższego. Nigdy się do niej nie odezwał inaczej niż „panno Krysiu” – „panno Krysiu, niech panna uważa, można przecież wpaść do wody”. Tymczasem drzewa dookoła próbowały swych tańców lub stały w miejscu, nieme, gotowe, jak baletnice, pójść w tan. A pies szczekał, ujadął, toczył pianę, rzucał się na parkan, wózek toczył się swobodnie i szybko, Tse Tse Apepe coś mamrotał pod nosem, oganiając się psu, „panno Krysiu, niech panna uważa” zawisało na moment nad poręczą i nie spadało w mętną kąpiel jeziora, kawa stygła, a grzanka nadal była w sferze przypuszczalnej realizacji, czuło się jednak jej lepkość i słodkość. Szczekanie zacichało, jeszcze raz lub dwa usłyszał urwane, zmiętoszone: wau, wau – pamiętające, iż nie należy uciszać się od razu, wskazywałoby to na nieszczerłość zacietrzewienia. Łyzeczka zanurzona w czarnej topieli powoli zwałniała i upragniona chwila pierwszego łyku wydawała się zbliżać nieuchronnie. Ależ mój złoty, ten chłopak celowo zachowuje się nagannie, to znak buntu, który był nie do pomyślenia w mojej rodzinie, mówiła w takiej sytuacji ciotka, dodając: Do you understand my boy? Dobrze, że nie dodawała: stupid boy. Wezwany tym wykrzyknieniem nie odpowiadał, tulił jedynie głowę w ramionach, spuszczał wzrok ku podłodze i naturalnie przestawał zamazywać mieszając w czymś, co podawano na śniadanie, a co przypominało kawę ze śmietanką, a smakowało jak karmel zaprawiony goryczą. Mógł tak siedzieć w bezruchu do chwili, gdy ojciec, kończąc czy jedynie przerywając rozmowę z kobietami przy stole, bez patrzenia nań stwierdzał: możesz pójść do siebie. Odchodził wówczas do swojego pokoju, pozbawiony prawa swobodnego zjedzenia śniadania, nareszcie wolny, choć nieprzyjemne uczucie zatykającej gardło kuli tkwiącej w przełyku, pozostawało nawet wówczas, gdy podejmował samotne zmaganie się z jedną z tych skomplikowanych konstrukcji, jakimi wypełniona była jego półka z zabawkami. Często nie pamiętał nawet ich nazw, bo i po co, skoro i tak na nie zasłużył. Wiedział – przez najbliższe godziny towarzyszył będzie mu jedynie stojący tuż za oknem wyrośnięty krzak bzu – jego baobab, w którym skrywał się, chował, z którego, gdy był okrętem żaglowym, wypatrywał piratów. Po późnej godzinie dnia, z wolna zapadającego mroku, świat wokół wypełniała cisza – jedyna niema towarzyszka, nie, wcale nie niema, przecież odpowiadała mu, prowadził z nią rozmowę,